



Niezwykłe okoliczności odrodzenia Izraela

REFLEKSJE ŻYDOWSKIEGO HISTORYKA

Fragmety przemówienia wygłoszonego w Zurychu w 1974 r. przez profesora Pinchasa Lapide, byłego wykładowcę na Uniwersytecie Bar Illan w Izraelu.

Od samego początku istnienia naszego narodu Bóg chciał, abyśmy my, Żydzi, byli skromni i nie mieli o sobie zbyt wygórowanego mniemania. Bóg podkreślał za pośrednictwem proroka Mojżesza, że jesteśmy najmniejszym z narodów, a mimo to wybrał nas. I to się nie zmieniło. Państwo izraelskie jest jednym z najmniejszych państw na świecie. Jego terytorium jest mniejsze od połowy terytorium Szwajcarii, a liczba jego obywateli wynosi mniej, niż liczba mieszkańców Berlina.

Bogactw mineralnych mamy bardzo niewiele. Nie posiadamy ani tego węgla, w który obfituje Zagłębie Ruhry, ani rudy żelaza, jaką ma Szwajcaria, ani nawet lasów, jakimi pokryte są góry Schwarzwald. Ropy naftowej mamy tylko odrobinę. Toteż robimy coraz to nowe wiercenia z nadzieją, że może dobry Pan Bóg i to nam jeszcze zechce darować.

Mamy za to nieprzebrane ilości piasku i kamieni. Jaka szkoda, że nie ma takiego kraju, który zechciałby od nas importować piasek i kamienie! Niestety, obfitość tego surowca nie może przysporzyć nam pieniędzy, których wciąż jest za mało na podźwignięcie naszego kraju z ruiny...

Tak, mamy obfitość kamieni i piasku, ale za to odczuwamy wielki brak wody. Nie znam innego języka poza hebrajskim, który posiadałby tyle określeń dla deszczu i rosy, ile my mamy. Istnieje aż jedenaście hebrajskich wyrazów na określenie różnych rodzajów deszczu i cztery wyrazy na określenie rosy. Dlaczego? Ponieważ od wieków mieliśmy mało opadów, wyspecjalizowaliśmy się w tworzeniu jak najdokładniejszych określeń na każdy rodzaj deszczu i rosy. Zawsze musieliśmy modlić się do Pana Boga o więcej deszczu, aby móc uprawiać naszą twardą oporną glebę i mieć kawałek powszedniego chleba dla zachowania życia.

Gdybym próbował wyliczyć Państwu wszystkie nasze biedy, zajęłoby mi to pół godziny. Powiem więc raczej o czymś pozytywnym. Mianowicie, wśród wszystkich naszych braków jest jeden, którym wcale się nie martwimy. Jest to brak nienawiści.

Kiedy 6 października 1973 roku podczas naszego najbardziej uroczystego święta – Dnia Pojednania, wojska ZRA znienacka przekroczyły naszą granicę niosąc śmierć tysiącom naszych rodaków, profesorowie naszego uniwersytetu ogłosili szczególną ankietę. W ankiecie tej wzięły udział tysiące osób cywilnych i wojskowych, a zawierała ona pytanie:

„Czy nienawidzi pan/pani Arabów?”. Okazało się, że tylko 11% ankietowanych rzeczywiście nienawidzi wrogów swojej ojczyzny. „Nienawidzę tylko arabskich terrorystów” – tak wypowiedziało się 15%. „Nienawidzę tylko niektórych Arabów” – napisało 16% uczestników ankiety. Pozostałe 58% odpowiedzi brzmiało zdumiewająco, wprost nieprawdopodobnie, jeśli zważymy, że Arabowie szli, aby wymazać Izrael z mapy świata: „Nie, nie czuję nienawiści do Arabów”. Myślę, że Pan Jezus byłby zadowolony z takiej odpowiedzi i dodałby do niej swoje „Tak i Amen!”. Zgodzą się Państwo ze mną, że w jakimkolwiek innym kraju na świecie napadniętym przez śmiertelnego wroga nie do pomyślenia jest, aby tylko 11% ludności nienawidziło go!

Dwa dni później, 8 października, podczas najzgorzalszych walk przeprowadzono inną ankietę, tym razem wśród wykładowców naszego uniwersytetu. Pytanie brzmiało: „Czy zgodziłby się pan wyjechać na rok do Syrii lub Egiptu, aby tam pracować nad podniesieniem poziomu oświaty i kultury?”. I oto 91% profesorów oświadczyło: „Tak, zgodziłbym się”. A przecież oba te państwa dążyły do naszej zagłady! Osobiście dumny jestem nie tyle z tego, że mój naród zwycięsko wyszedł z tej wojny, ile z tego, iż nie jest zatruty nienawiścią. Dowodem braku nienawiści jest też fakt, że w piętnaście lat po dokonaniu największego w dziejach ludzkości masowego mordu na ludności żydowskiej, Żydzi otworzyli bramy swego państwa i swoje serca przyjeźdnym z Niemiec: pielgrzymom, dyplomatom i miłośnikom Biblii. Największym marzeniem trzech milionów Żydów zgromadzonych na ziemi izraelskiej jest to, abyśmy mogli z naszymi sąsiadami żyć tak dobrze, jak od 160 lat żyje Szwajcaria ze swymi sąsiadami. Takie marzenie jest właściwie utopią, bo dobrze wiemy, co się o nas mówi w Kairze, w Damaszku, w Ammanie, w Libii; wiemy, co pisze się o nas i mówi przez radio na całym świecie... Ale, jak Państwu wiadomo, my, Żydzi, jesteśmy nieuleczalnymi optymistami. Wiele razy nasi nieprzyjaciele próbowali nas z tego uleczyć, ale dotąd nie udało im się. Po wszystkich strasznych przeżyciach nadal jesteśmy optymistami, nadal nie tracimy nadziei.



Nie wiem, czy Państwo zdają sobie sprawę z tego, ile trzeba mieć optymizmu i zupełnie bezpodstawnej nadziei, aby budować państwo żydowskie wśród całego morza nieprzyjaźni, a mimo to wierzyć, że przyszłość przyniesie pokój. Czy mogliby Państwo wyobrazić sobie np., że maleńkie państwo Luksemburg od przeszło ćwierć wieku żyje w stanie wojny ze swymi potężnymi sąsiadami: Niemcami, Francją i Belgią, a mimo to wciąż liczy na pokój? A tak właśnie jest z nami. My jesteśmy takim maleńkim „Luksemburgiem” wobec wielkich państw Bliskiego Wschodu. Jeśli popatrzymy na mapę, stwierdzimy, że najdłuższą rzeczą w Izraelu są jego granice – przy maleńkiej powierzchni. Nasze granice są tak długie i tak trudne do obrony, jak granice Norwegii albo Chile, z tą różnicą, że po drugiej stronie nie ma przyjaznej Szwecji, czy Argentyny. O, jakże pragnęlibyśmy mieć takiego sąsiada, jakim jest Szwecja! Ale dobry Pan Bóg dał nam innych sąsiadów i musimy przyjąć to, co nam dał.

Muszę jednak sprostować to, co powiedziałem przed chwilą. To, co jest najdłuższe w Izraelu, to nie nasze granice. Istnieje coś jeszcze dłuższego: trzy tysiące lat trwająca moc żydowskiej nadziei. Właśnie dzięki tej wielowiekowej nadziei – wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi – obchodzimy w tym roku dwudziestą szóstą rocznicę narodzin trzeciego z kolei państwa izraelskiego.

Jak Państwo pamiętają, pierwsze państwo izraelskie założone było przez Jozuego, a zniszczone przez Babilończyków. Drugie z kolei państwo izraelskie zostało odbudowane przez Ezdrasza i Nehemiasza, a obrócone w zgłiszczą i popioły przez Rzymian. Dwadzieścia sześć lat temu rozpoczęliśmy już po raz trzeci odbudowę naszego państwa pod przewodnictwem Dawida Ben Guriona.

Gdybym miał podsumować to, czego dokonaliśmy w tym krótkim czasie – a któż wie lepiej niż my. Żydzi, jak krótki to okres w porównaniu z czterema tysiącami naszej pełnej utrapeń historii – otóż w moim podsumowaniu nie podawałbym danych statystycznych, bowiem nie ukazują one całej prawdy. Chciałbym natomiast podać te fakty, które dają się streścić w dwóch słowach:

CZTERY CUDA

Co rozumiem przez słowo „cud”? Powiedziałbym, że jeśli któregoś dnia widzimy, iż dokonało się coś, co wszyscy uczeni uważali dotąd za rzecz niewykonalną, to jest cud. Cud wystawia na pośmiewisko wszystkie logiczne wywody naukowców. Tak definiując cud stwierdzam, że w Izraelu oglądamy wydarzenie się aż czterech cudów.

Pierwszym takim cudem jest **wskrzeszenie martwego**

go języka. Na początku XX wieku ani jedno dziecko żydowskie nie uważało hebrajskiego za swój własny język. Kiedy pierwsi syjoniści usiłowali sprowadzić lud Biblii z powrotem do kraju Biblii, rozumieli, że wieża Babel nie może się powtórzyć, tj. że Żydzi powracający ze 121 krajów, mówiący przeszło siedemdziesięcioma różnymi językami, muszą mieć jeden wspólny język. Inaczej nie da się odbudować kraju. Syjoniści ci doszli do wniosku, że tym językiem może być tylko język naszych praojców – hebrajski.

Wtedy podnieśli krzyk wszyscy filologowie, wszyscy znawcy języków i literatury powszechnej, dowodząc, że martwego języka nie da się wprowadzić do użycia we współczesnym świecie. Uczeni ci wskazywali, że żadna z podejmowanych dotychczas prób ożywienia martwego języka jeszcze się nie udała. Patriotom irlandzkim nie udało się wprowadzenie w życie języka celtyckiego. Nie udało się jezuitom rzymskim uczynić łaciny językiem użytku codziennego. Fiasko ponieśli również profesorowie greki klasycznej, kiedy usiłowali zastąpić nią grekę współczesną. Dlatego uczeni powiedzieli nam siedemdziesiąt lat temu: „Dajcie spokój hebrajskiemu. Zostawcie go Biblii. Jesteście mądrym narodem, więc znajdziecie sobie jakiś nowy język, może esperanto, może jeszcze inny, ale język hebrajski jest martwy i nie uda wam się go wskrzesić”.

Nie wiem, czy jesteśmy mądrym narodem, ale wiem na pewno, iż jesteśmy narodem upartym. Wiele razy Biblia mówi o nas, że jesteśmy „ludem o twardym karku”, a Biblia dobrze zna swoich Żydów... I właśnie dlatego, że jesteśmy uparci, nie posłuchaliśmy tych wszystkich profesorów i najlepszych na świecie językoznawców. W rezultacie mamy dziś pokolenie młodych Izraelczyków, którzy nie tylko myślą i mówią po hebrajsku, ale także piszą na naszych uniwersytetach prace naukowe z zakresu agronomii, historii, paleontologii i wielu innych dziedzin współczesnej nauki.

Powiem Państwu, że kiedy osiemnastoletni syn mego sąsiada pisze listy miłosne do swej ukochanej w Tel-Awiiwie, to bez żenady przepisuje całe zdania z „Pieśni nad Pieśniami”. Nie dlatego, że brakuje mu słów na wyrażenie swej miłości. O nie, chłopiec jest bardzo zdolny i inteligentny. Ale „Pieśń nad Pieśniami” ułożona przez Salomona trzy tysiące lat temu właśnie w tym mieście, w którym teraz mieszkam – Jerozolimie, zawiera najgłębszą i najpiękniejszą poezję o miłości, wyrażoną takim samym językiem, jakim my teraz mówimy, dlatego nie jest ani trochę przestarzała. Tą samą mową, którą my porozumiewamy się dzisiaj, Salomon posługiwał się w czasach, kiedy nie istniał jeszcze ani Londyn, ani Berlin, ani Paryż, czy Moskwa lub Wiedeń, kiedy jeszcze półdżicy Europejczycy jedli surowe mięso dziesięcioma palcami. W tamtych czasach w Jerozolimie już służył Jedyńemu Bogu i do Niego zanoszono modlitwy.



Nasi dziesięcioletni czy piętnastoletni uczniowie oglądają w muzeum rękopisy biblijne znalezione nad Morzem Martwym, które pisane były w czasach Jezusa Chrystusa. Otóż dzieci nasze mogą odczytywać te rękopisy z taką samą łatwością z jaką Państwo czytacie poranną gazetę. A gdyby jutro na lotnisku w Izraelu wylądował prorok Jeremiasz, Ezechiel, czy Amos, to zapewniam Państwa, że mieliby znacznie mniejsze trudności z porozumieniem, niż Wasz bohater Walter von der Vogelweide, mimo iż żył on tylko siedem stuleci temu, a każdy z wymienionych proroków, aż trzy tysiące lat. Walter von der Vogelweide potrzebowałby pomocy co najmniej trzech znawców języka starogermańskiego, aby porozumieć się z urzędnikami celnymi w Zurychu.

Tak więc nasz język, który nauka już złożyła do grobu, zmartwychwstał i żyje tak samo jak trzy tysiące lat temu i dawniej. W naszym izraelskim parlamencie omawia się dziś sprawy polityczne i ekonomiczne, używając takich samych wyrażań, jakich używali królowie Dawid i Salomon. A przecież mamy dzisiaj rozmaite specyficzne sytuacje związane ze współczesnością, trudno więc dziwić się sceptycyzmowi naukowców. Jednak nasz martwy język ożył i to właśnie jest dla mnie cudem!

Drugi cud, to nasi rolnicy. A jakież to może być cud, zapytacie Państwo, i my mamy w każdym szwajcarskim kantonie rolników, którzy uprawiają ziemniaki, wytłaczają wino z winogron i dostarczają nam mąki na chleb. Przecież nie ma w tym nic niezwykłego! Słusznie. Jednak to, co u innych narodów jest najzwyczajniejszą rzeczą, dla nas Żydów było najtrudniejsze.

Kiedy pierwsi syjoniści wskrzeszali nasz martwy język, zdawali sobie sprawę, że dla wyżywienia się narodu na własnej ziemi konieczne jest powstanie nowej warstwy społecznej - gospodarzy rolnych. Naród może istnieć bez rządu, bez parlamentu, bez uniwersytetów, ale nie może żyć bez własnej ziemi, bez rolników. I wtedy powstał problem, skąd wziąć Żydów rolników, skoro nie było ich nigdy w żadnym kraju w świecie, gdzie byli osiedleni przez wieki. Na całym świecie mieliśmy Żydów - lekarzy, przemysłowców, handlowców, rzemieślników, ale nie było zupełnie takich, którzy znaliby się na rolnictwie. Żydom bowiem broniono dostępu do roli we wszystkich krajach, w których mieszkali. W tej niezwykle trudnej sytuacji pierwsi syjoniści powzięli zdumiewające postanowienie: „Sprowadzimy Żydów ze środkowej i wschodniej Europy i zrobimy z nich rolników”. Należy nadmienić, że w owym czasie, tj. około 1890 roku, 80% rozproszonych Żydów zamieszkiwało właśnie środkową i wschodnią Europę. Decyzja syjonistów spotkała się natychmiast z atakiem ze strony socjologów i antropologów: „Taka rzecz nigdy się nie uda” - twierdzili uczeni. „Znamy proces urbanizacji, polegający na masowej ucieczce ludzi ze wsi do miast, ale nikt nigdy nie zaobserwował w historii procesu od-

wrotnego, ucieczki z miast na rolę. Dlatego nie radzimy wam podejmować prób, które są skazane na niepowodzenie.”

I tym razem twardy kark żydowski nie ugiął się przed uczonymi. Być może, był to nie tylko upór, ale coś, co można by nazwać natchnieniem, które było nam dane. Posłuszeństwo owemu natchnieniu przysporzyło nam w rezultacie około ćwierć miliona rolników, których przodkowie mieszkali w miastach i nie znali się na hodowli ani na rolnictwie. Obecnie nasi gospodarze wiejscy doją nasze izraelskie krowy, wytłaczają wino z winogron i dostarczają nam mąkę na chleb podobnie, jak się to dzieje w Szwajcarii i w każdym innym kraju na świecie. Jest jednak pewna różnica. Nasi wieśniacy to przeważnie ludzie wykształceni, dlatego za dnia pracują na roli a wieczory spędzają nad książką. Co czytają? Przede wszystkim Biblię. Czytają także arcydzieła literatury światowej i nowości literackie i to bardzo często nie w przekładzie, lecz w językach oryginalnych. W Izraelu w każdej wsi, choćby miała mniej niż tysiąc mieszkańców, istnieje dobrze wyposażona biblioteka, jest chór i orkiestra a czasem nawet muzeum i galeria sztuki. Mimo, że Żydzi stali się wieśniakami, nadal zostali ludźmi spragnionymi wiedzy i piękna, które stworzył Bóg. I tak chyba być powinno. Dlaczego ludność wiejska miałaby być „ciemna” i nie interesować się niczym poza gospodarstwem? Są u nas gospodarze, którzy zostali wybrani do parlamentu. Nasi najlepsi poeci chlubią się tym, że są członkami kibuców (kolektywnych gospodarstw). Mamy pisarzy i artystów wśród naszej ludności wiejskiej. Mieszkańcy naszych wsi są pionierami w wielu dziedzinach życia zmartwychwstałego narodu i chyba tak miało się stać. Bo przecież w zamierzchłych czasach, kiedy powstała Biblia, byliśmy narodem rolników i pasterzy.

Trzecim cudem jest sam naród. W roku 1949, czyli w rok po odzyskaniu niepodległości, kiedy Żydzi gnani tęsknotą lub nie mający gdzie się podziać, przybywali do swej ojczyzny ze 121 zakątków świata, odwiedziła nas grupa skandynawskich i amerykańskich antropologów, gdyż, jak wiadomo, Izrael jest rajem zarówno dla antropologów jak archeologów. Nigdzie nie ma tylu zachowanych w ziemi skarbów z zamierchłej przeszłości. Nigdzie przemiany socjologiczne i antropologiczne nie dokonywały się tak szybko i wśród takiej mieszaniny etnicznej, jak na tym właśnie skrawku ziemi biblijnej. Otóż wspomniana grupa uczonych bawiła u nas przez osiem miesięcy. Jeżdżąc od moszawu (rodzaj spółdzielni produkcyjnej) do moszawu, od kibucu do kibucu i od miasta do miasta, próbowali oni wykryć, na jakich zasadach ta mieszanina przybyszów z całego świata próbuje zjednoczyć się w jeden naród. Uczestniczyłem w pożegnaniu tych uczonych w Jerozolimie pod koniec roku 1949. Pamiętam jak ich przedstawiciel, znany naukowiec amerykański, powiedział w swoim przemówieniu pożegnalnym: „Nowe państwo izraelskie



wywarło na nas wielkie wrażenie, ale brak wam jednego – brak wam narodu. Wasi obywatele są 90 narodowości; potrzeba 200 lat, aby z tej mieszaniny powstał jednolity naród”. Kiedy ów naukowiec dostrzegł na naszych twarzach rozczarowanie, dodał pocieszająco: „Panowie, jestem obywatelem amerykańskim, ale moje nazwisko jest szwedzkie. Moja prababka urodziła się już w Ameryce. Pomimo to w naszym domu w stanie Misisipi dotąd jeszcze obchodzimy szwedzkie święta, naszym dzieciom nadajemy szwedzkie imiona, rozmawiamy po szwedzku z rodzicami i dziadkami i chociaż uważamy się za Amerykanów, jesteśmy jeszcze bardzo przywiązani do naszego szwedzkiego pochodzenia. A wy chcielibyście, aby tak od razu powstał z was jednolity naród? Myślę, że jeśli pod koniec XXI wieku dopasujecie się do siebie i naprawdę staniecie się Izraelczykami, będziecie się mogli uważać za szczęśliwych. Nie należy się jednak spodziewać, aby to nastąpiło wcześniej”.

Pod koniec roku 1972 to samo grono uczonych przybyło ponownie do Izraela i odwiedziło te same moszawy, kibuce i miasta, aby dokonać sprawdzianu swych poprzednich badań. Już po dwóch miesiącach badań uczeni ci doszli do wniosku, iż wbrew ich własnym prognozom, ta zbieranina ludzi reprezentujących wszystkie możliwe kultury, języki i cywilizacje, pochodzących z pięciu kontynentów i 121 państw i niewiele mających ze sobą wspólnego poza Biblią, po niecałych 25 latach zdołała zespolić się w jeden naród, zarówno pod względem demograficznym jak też psychologicznym. Pamiętam jak podczas wspólnej kolacji rozważaliśmy z tymi uczonymi przyczyny tak zaskakującego zjawiska. Ktoś z nas powiedział: „Może i Nasser się do tego przyczynił”. „Być może” – przyznał przewodniczący delegacji z przed lat. Rzeczywiście, znaną jest rzeczą, że nic tak nie jednoczy ludzi jak wspólne niebezpieczeństwo. Nasser przewróciłby się w grobie, gdyby słyszał to, co chcę powiedzieć, a mianowicie, że kto wie, czy gdzieś koło roku dwutysięcznego nasi historycy nie udowodnią, iż nasi nieprzejednani wrogowie, którzy chcieli wymazać Izrael z mapy świata (np. prezydent Syrii, pan Assad lub przywódca terrorystów, pan Arafat) nie przyczynili się w dużej mierze do naszej konsolidacji narodowej. Podobnie odwrotny do zamierzonego skutek miała trzy i pół tysiąca lat temu misja proroka Bileama. Książęta filistyńscy, ówczesni wrogowie Izraela, wynajęli Bileama za olbrzymią sumę, aby przeklinał nasz naród. Prorok jednak, choć palił się do otrzymania tej wielkiej nagrody, zamiast złożyć błogosławieństwo nam, i to aż trzykrotnie! A czynił to tak pięknie, że jego słowa do dziś pozostały częścią porannej modlitwy wszystkich Żydów: „Jakubie, jakże piękne twoje namioty, mieszkania twoje Izraelu!” Kiedy królowie filistyńscy zażądali od Bileama wytłumaczenia się z tego postępku, powiedział im: „Czyż nie muszę powiedzieć tego, co Pan włożył w moje usta?”

Myślę, że coś podobnego dzieje się teraz i pocieszam

się, że zło, które zamyślają nasi wrogowie, w ostatecznym rozrachunku okaże się naszym dobrem.

Czwartym z kolei cudem jest nasza obronność. Pamiętam dobrze wiosną 1948 roku w Jerozolimie. Myślę, że nie zapomną jej najstarsi mieszkańcy miasta, gdyby nawet dożyli 120 lat. Nie można było wtedy znaleźć w Jerozolimie wolnego pokoju. Wszędzie pełno było reporterów prasowych, ekip telewizyjnych i radiowych, obserwatorów politycznych z całego świata. Bułgaria przysłała ekipę dwunastuosobową, Chiny sześciuosobową, przedstawiciele Związku Radzieckiego zajęli cały hotel, a Amerykanów, Anglików, Szwajcarów, Francuzów nikt by nie zliczył. Ci wszyscy przybysze mieli jedną rzecz wspólną – termin ważności rezerwacji hotelowej nie przekraczający trzech tygodni. W tym czasie bowiem spodziewali się oni wypełnić swoją misję. A na czym polegała ta misja? Otóż mieli oni dokładnie poinformować społeczeństwa swoich krajów o przebiegu narodzenia się nowego państwa – Izraela. Lecz to nie wszystko. Następnym ich zadaniem było opisać, sfotografować i przekazać za pomocą telewizji śmierć tego państewka; według przewidywań znawców miała ona nastąpić w ciągu dwóch lub trzech tygodni po powołaniu do życia. Pesymiści twierdzili, że państwo izraelskie narodzone 14 maja 1948 r. skona jeszcze tego samego dnia. Zdaniem optymistów przy odrobinie szczęścia Izraelowi może udać się przeżyć nawet do końca miesiąca. Szczytem optymizmu były przewidywania naszych najlepszych przyjaciół, że uda się nam przetrwać cały miesiąc, do połowy czerwca. Przypominając te prognozy wcale nie mam na myśli jakichś młodych niedoświadczonych dziennikarzy. Bynajmniej! Mam na myśli ekspertów tej miary, co wódz naczelny armii brytyjskiej podczas II wojny światowej generał lord Montgomery. Miał on z pewnością większą znajomość strategii i taktyki wojennej, niż wszyscy ówczesni generałowie razem wzięci. Gdy na międzynarodowej konferencji prasowej w Londynie, odbywającej się w tym samym czasie, kiedy w Palestynie proklamowano niepodległość Izraela, wielki ten wódz i znawca układu sił wojskowych na całym Bliskim Wschodzie powiedział: „Na Żydów przyszedł koniec”, nikt mu nie zaprzeczył. Jego koledzy po fachu, generałowie państw zachodnich i wschodnich, północnych i południowych, wszyscy podzielali tę opinię. Aby zrozumieć, dlaczego ci wszyscy znawcy nie widzieli możliwości przetrwania Izraela, wystarczy rzucić okiem na mapę Bliskiego Wschodu. Izraelowi przeznaczono nie więcej niż 1% powierzchni na tym obszarze. Proszę sobie wyobrazić, że maleńki Luxemburg nagle znalazł się w stanie wojny ze swymi potężnymi sąsiadami: Francją, Niemcami i Belgią. W takiej właśnie sytuacji znaleźliśmy się my w tym czasie, i do dziś jest tak samo. Nie miałem zaszczytu poznać osobiście pana generała de Gaulle’a ani pana generała Eisenhower’a, ale śmiem twierdzić, że gdyby ci wybitni wodzowie



mieli dowodzić armią o sile 40-krotnie mniejszej od sił przeciwników, jak to było w naszym przypadku w roku 1948, to doradziliby swojemu rządowi, aby puścić żołnierzy do domu i czekał z podjęciem działań wojennych na nieco korzystniejszą sytuację. Dowódca, który decyduje się na walkę przy stosunku sił 1:40, kwalifikuje się, moim zdaniem, raczej do szpitala psychiatrycznego niż na pole bitwy. Lecz naszym nieszczęściem było to, że nie mieliśmy ani żadnego miejsca, gdzie moglibyśmy się schronić, ani żadnych szans na lepszą sytuację w przyszłości. Dlatego musieliśmy się bronić, mimo że byliśmy tak słabi liczebnie. Jak Państwu wiadomo, musieliśmy się bronić nie tylko wtedy, lecz do dziś jeszcze trzykrotnie, a kto wie, czy po raz piąty nie będziemy zmuszeni odpierać sił nieprzyjacielskich, skoro jesteśmy tak śmiertelnie małą garstką wobec potęgi naszych wrogów.

Kiedyś Bóg powiedział do faraona: „Wypuść mój lud”, ale faraon nie chciał być Mu posłuszny. Dopiero dzieś się straszliwych plag, które spadły na Egipt, skłonił go do postuszeństwa Bogu. Dzisiaj Boży nakaz brzmi: „Pozwól mojemu ludowi żyć w spokoju” i skierowany jest nie tylko do faraonów nad Nilem, czy nad Wołgą. Nieraz zastanawiałem się, czy i oni będą musieli być dotknięci dziesięcioma plagami, zanim zechcą usłuchać, czy też stanie się to tańszym kosztem...

Najgorsza wojna spotkała nas w roku 1973. Zostaliśmy napadnięci zupełnie zniemacka. Dzień, w którym wypowiedziano nam wojnę, spędzaliśmy w poście i na modlitwie. Był to bowiem Dzień Pojednania (Jom Kipur), nasz najświętszy dzień roku, kiedy zwykliśmy korzyć się przed Panem w pokucie i skrusze. I w tym właśnie dniu przyszedł podwójny atak. Nieprzyjaciel miał więcej czołgów i samolotów, niż Hitler, kiedy zaatakował Związek Radziecki w 1941 roku. A mimo to, jak Państwu wiadomo, doszło do zawieszenia broni, o którym nawet największy arabski propagandzista nie może powiedzieć, że stało się to z powodu ich zwycięstwa... Na samym tylko Półwyspie Synajskim zdobyliśmy przeznaczony na naszą zagładę sprzęt wojskowy o wartości dwóch miliardów dolarów. Gdyby te dwa miliardy dolarów przeznaczono na pomoc dla uchodźców arabskich, dziś każdy z nich mógłby cieszyć się własnym domkiem rodzinnym, a nawet willą z ogrodem i basenem pływakim. Gdyby te dwa miliony użyto nie na zagładę Izraela, lecz dla dobra ludów arabskich, to byłyby one wyzwolone od swych prawdziwych wrogów, których imię jest nie Izrael, ale gruźlica i syfilis. Te straszne choroby od dwóch tysięcy lat dokonują w Egipcie większego spustoszenia niż mógłby kiedykolwiek uczynić Izrael, nawet gdyby tego chciał. Szkoda, że owe miliardy nie zostały zużyte na leczenie tych chorób lub pomoc trędowatym, którzy przybyli do Egiptu prosząc o nią! Próbowaliśmy zdobyte czołgi przerobić na traktory w myśl proroctwa Izajasza, że „miecz

przekują na lemiesz”. Niestety nie udało się to. Broń ta musi jednak pozostać bronią, dopóki nasi wrogowie nie dojdą do przekonania, że lepiej nas zostawić w spokoju. O, gdyby czytali Księgę nad Księgami, która przecież jest tak tania i łatwą do nabycia książką – oszczędziliby sobie mnóstwo pieniędzy i potu. Bo w tej Księdze jest m.in. napisane o Żydach, którzy mieszkali niegdyś w Egipcie, że im bardziej ich uciskano, tym bardziej rozmnażali się i wzrastali w siłę. Chyba tak jest do dzisiaj...

W roku 1948 znawcy wojskowości i sytuacji na Bliskim Wschodzie z góry pogrzebali Izrael. Przewidywali też jego koniec przy każdej następnej wojnie: w latach 1956, 1967 i 1973. A kiedy za każdym razem ich przewidywania nie spełniały się, zaczęli pisać książki na ten temat. Myśmy je wszystkie starannie przestudowali, ciekawi ich odpowiedź na pytanie, dlaczego wbrew przewidywaniom ekspertów maleńki Izrael za każdym razem ostał się wobec przeważających sił, a nawet je zwyciężał. To przecież nie jest normalne. Przecież myśmy nie prowadzili wojen przez 2000 lat. Ostatnia wojna prowadzona przez Żydów rozgrywała się w 160 roku przed n.e., kiedy to nasi przodkowie powstali przeciwko Syrii i Grecji pod wodzą Machabeuszy. Przecież my Żydzi od 2000 lat nie mieliśmy żadnej flagi narodowej, żadnej chorągwi, pod której znakiem moglibyśmy walczyć, nie mieliśmy dowódców, nie mieliśmy wojska ani nawet własnego skrawka ziemi, której moglibyśmy strzec. Jakże więc mogło dojść do tych niespodziewanych zwycięstw w latach 1948, 1956, 1967 i 1973? W żadnej z tych książek nie znaleźliśmy jednak odpowiedzi na to. Natomiast w Księdze nad Księgami znaleźliśmy opis sytuacji sprzed trzech tysięcy lat bardzo podobnej do naszej obecnej. Wtedy właśnie między maleńką Judeą i jej wrogami Filistynami miał miejsce taki sam układ sił jak w roku 1948 – 1:40, jeden obrońca Izraela przeciwko czterdziestu wrogom. Przecież przy takim układzie sił zwycięstwo jest nie do pomyślenia! A jednak król Dawid, ówczesny wódz Izraela zwyciężył wroga i uczynił Jerozolimę swoją stolicą, a język hebrajski językiem swojego kraju. Ale król Dawid nie sobie przypisywał swe niezwykle zwycięstwa. Kto czytał jego Psalm, ten wie, komu je przypisywał...

I my jesteśmy całkowicie pewni, że Ten, który pomagał Dawidowi przed wiekami, dopomógł trzy tysiące lat później innemu Dawidowi – tym razem Dawidowi Ben Gurion w pokonaniu trudności, jakie z ludzkiego punktu widzenia byłyby nie do pokonania. Gdyby tak nie było, wskrzeszenie Izraela od Dan do Beerszeby i od Beerszeby do Ejlatu nie miałyby najmniejszego sensu. Bezelowe byłyby też nasze zwycięstwa. Bezelowe byłyby także wskrzeszanie naszego języka, nie miałyby sensu trud jaki wkładamy w nawodnienie pustyni i przeobrażanie jej w pola uprawne i lasy. Wszystkie te wysiłki byłyby podobne do gry w szachy, którą prowadzi się dla zabicia czasu i ani świat nie miałby z



tego żadnego pożytku ani Panu Bogu nie byłoby to potrzebne dla Jego zbawczych celów.

Kończąc pragnę zwrócić uwagę na to, że gdy Żydzi zaczęli powracać do ziemi swych przodków, przybywali do kraju całkowicie ogołconego. W Galilei, na północy czekały ich bagna, na południu - pustynia. Trzeba było zagospodarować kraj i obsadzić ludźmi wszystkie dziedziny życia państwowego. Tymczasem powracający byli w znacznej mierze ofiarami II wojny światowej, ludźmi, którzy przeszli przez obozy koncentracyjne. Nie byli zatem dobrym materiałem na pionierów i budowniczych państwa od podstaw, lecz wymagali leczenia. Czyż można się dziwić, że syjonizm był wówczas uważany przez wielu naukowców za rzecz wręcz absurdalną. Jeśli mieliśmy odwagę postępować wbrew takim opiniom, to tylko dlatego, że zaufaliśmy Bogu. I ta wiara okazała się niezawodna.

Proszę Państwa, tak przedstawia się sprawa z Izraelem w głównych zarysach; reszta - to ujęte w statystykach szczegóły, które każdy może sam prześledzić u siebie w domu.

Mówi się o nas, Żydach, że jesteśmy mądrzy. Mamy dobrych naukowców, mamy licznych laureatów nagrody Nobla. To prawda, ale proszę mi wierzyć, że w głębi serca nie polegamy całkowicie na nauce. Owszem, chętnie się nią posługujemy w Izraelu, ale nie jest ona dla nas ani ostatecznym celem, ani nie uważamy jej za jedyny środek poznania wszystkiego.

Wierzymy, że cel naszego istnienia został nakreślony w Księdze Ksiąg i że prędzej czy później cel ten będzie zrealizowany.

R-
„Straż”